

Kronika tygodniowa.

Minęły już bezpowrotnie te czasy, kiedy ludzie żyli po siedemset lat i więcej, jak to mamy przykład na błogosławionej pamięci Matuzalemie. Ale też wówczas sztuka lekarska nie stała na tak wysokim poziomie, jak dziś, nie znano jakichś tam Urzędów zdrowia, nie było tylu chorób, co dzisiaj, a gdy kto poczuł, że mu coś dolega, szedł nie do apteki, ale na łąkę lub do lasu, gdzie leczył się ziółkami i korzonkami roślin, jak te i dziś czynią czworonogi, mające od nas rzekomo mieć mniej rozumu.

Tak!... Dobrze to były czasy, daleko lepsze, niż obecne i życzyliby sobie należało, byśmy mogli kiedyś do nich powrócić.

Wówczas, jak się już wyżej rzekło, żyli też ludzie dłużej, co przypisać należy już to silniejszej budowie ich ciała i umiarkowanemu życiu (choć podobno już bł. pam. Noe lubił czasem zalewać robaka...), już też zdrowszemu powietrzu, jakim ówczesni obywatele oddychali. Należy to rozumieć zarówno dosłownie, jak i w przenośni. Dosłownie, gdyż powietrze było w samej rzeczy czystsze, nie będąc przesyconym wyziewami tylu kominów fabrycznych, przenośnie zaś, bo atmosfera, w jakiej się pradziadkowie nasi obracali, była zupełnie inną. Jeden drugiego nie uważał za wroga, ale za brata, jeden nie czyhał na dobytek drugiego, nie zazdrościł mu, gdy się mu dobrze wiodło, owszem, cieszył się nawet jego powodzeniem. Dziś zaś dławi ludzi zawiść i zazdrość, każdy chciałby wszystko dla siebie zagarnąć, a dla drugiego nic nie zostawić.

W takich warunkach życie staje się nieznośnym i człowiek powinien się cieszyć z tego, iż żyje krótko i nie potrzebuje się borykać z losem, dajmy na to jak ojciec Matuzalema, przez lat siedemset i coś tam jeszcze.

W dawniejszych czasach mogli też ludzie urządzać stoletnie jubileusze swej działalności, lub po dwustu latach owocnej pracy przechodzić w dobre zasłużony stan spoczynku. Obliczony również na jakie lat sto lub dwieście, dziś na coś podobnego pozwolić sobie nie możemy wobec krótkości naszego żywota. Korzysta się też z każdej nadarzającej się sposobności, to jest obchodzi się już nawet dziesięcioletni jubileusz pracy, o ile kto ma tyle cierpliwości, iż na jednym i tem samem miejscu potrafi tak długo wysiedzieć, jak się bowiem wwrzeć rzekło, obecnie żyje się krócej, ale też i ruchliwiej.

Otóż i kronikarz w ubiegłym tygodniu znalazł się w tem miłym położeniu, iż mógł być obchodzić dziesięciolecie swej pracy przy stoliku redakcyjnym w *Nowościach Ilustrowanych*, jeśli tego zaś nie uczynił, to tylko z tego powodu, iż sytuacja polityczna jest niepewną, każdy ma głowę nabitą czem innem, tak piękna i podniosła uroczystość mogłaby więc bardzo łatwo przejść zupełnie niespostrzeżenie, co byłoby niemiłym zwłaszcza dla samego jubilata. Nie też dziwnego, że się do tego nie przyznał, choć przed kilku tygodniami lekko o tem napomknął, jeśli to zaś dziś czyni, to tylko dlatego, by swych P. T. Przyjaciół i Nieprzyjaciół politycznych przygotować do jubileuszu stoletniego swej działalności, jaka przypadnie okragło za lat dziewięćdziesiąt.

Do tego czasu skończy się chyba obecna wojna, będą też i głowy spokojniejsze, komitet więc jubileuszowy, jaki się z tego powodu zawiąże, nie będzie miał tylu trudności do pokonania, co dzisiaj, już choćby tylko z takim głośstwem, jak urządzenie bankietu jubileuszowego, co dziś, wobec zupełnego braku artykułów spożywczych, byłoby prawie niewykonalnym.

A jak to sobie pomyśleć jubileusz, choćby nawet tylko dziesięcioletni, bez uczty jubileuszowej z toastami, podnoszącymi nadzwyczajne zasługi jubilata, już pożyteczne i w dalszym ciągu jeszcze położyć się mające... Dopiero po ich wysłuchaniu wie jubilat, co on to zdziałał dla świata i jaką jest ozdobą społeczeństwa...

Kronikarz, niestety, w tem miłym położeniu nie mógł się znaleźć z powodów wyżej wymienionych, co jednak ma tę dobrą stronę, iż przez owe lat dziewięćdziesiąt, jakie nas jeszcze od dnia jubileuszu dzieli, będzie miał sposobność położenia tylu zasług, iż mowcy, chwalejący go, będą mogli w nich po sam pas brodzić. Ułatwi im to nadzwyczaj zadanie, będą mieli najróżnorodniejsze do wyboru.

Na razie, zamykając dziesięcioletni okres swej działalności, musi się kronikarz sam pochwalić, skoro tego nikt inny uczynić nie chce, iż starał się pracować uczciwie i jest prawie pewnym, że mu się to udało. A to przeświadczenie jest dlań najlepszą nagrodą i jubileuszowym podarunkiem (skoro innego nikt dać nie chce...). Przez cały czas swej działalności

zebrał też ze strony P. T. Czytelników tyle dowodów uznania, iż mu to zupełnie starczy za nagrodę jubileuszową. Zato dar, jaki dla jubilata w setną rocznicę objęcia przezeń obowiązków redakcyjnych przygotuje tak wydawnictwo, jak koledzy redakcyjni, a zwłaszcza szerokie koła P. T. Czytelników, będzie tem wspólniejszy i nie od rzeczy byłoby dziś już o tem zacząć myśleć (wielkie rzeczy tworzą się pomału...), to jest zawiązać komitet jubileuszowy, mogący przez lat dziewięćdziesiąt myśleć nad sposobem uczczenia zasług jubilata...

O swych własnych zasługach sam pisać nie chcę i nie mogę, gdyż na to nie pozwala mi wrodzona skromność. Wolę, niech raczej pozostaną niedocenione, niżby się może miał znaleźć ktoś, kto powiedziałby, iż sam je przeceniam.

A takich, którzy szukają dziury nawet na całym, nigdy nie brak. Mam tego dowód na ostatnim liście, jaki otrzymałem „od stałego Czytelnika *Nowości Ilustrowanych*“.

Wprawdzie zaprzysiężony znawca pisma i zawodowy grafolog, któremu list ów dałem do zbadania, twierdzi stanowczo, że, choć niema w nim ani jednego *post scriptum*, wyszedł on przecież z pod pióra raczej „stałego Czytelniczki“, a nie „Czytelnika“, mnie to jednak zupełnie wszystko jedno. On, czy ona, odpowiedzieć się godzi.

Otóż, ów „stały Czytelnik“ oburza się na mnie nie na żarty, iż w jednej z poprzednich kronik pozwoliłem sobie zaznaczyć, że nasze wiejskie Kasie i Marysie używają obecnie różnych pachnidel i kosmetyków, nie wiedząc, co zrobić z pieniędzmi, których mają, dzięki wojnie, zbyt wiele. Zwłaszcza zaś gniewa go wzmianka o złotych plombach do zębów i kończy uwagą, że kronikarz nie powinien tam wchodzić, gdzie go nie posiano, bo to się może źle dlań skończyć.

Jest to pewnego rodzaju niebezpieczne grożenie, przewidziane nawet kodeksem karnym, ale ja się go nie boję. Od najmłodszych lat byłem zawsze bardzo odważny i już jako dziecko nie bałem się nawet kominiarza. Tembardziej zaś w tym wypadku, gdy mam zupełnie czyste sumienie, bo bynajmniej nie miałem zamiaru wystawienia naszej ludności wiejskiej na posmiewisko. Chciałem tylko wytknąć to, co uważam za niewłaściwe, a tak, jak ja, myśli bardzo wielu.

Ma rację Szan. „stały Czytelnik“, twierdząc, że na wojnie najlepsze interesy porobili różni intelligenci, których żony nie miały się dawniej w co ubrać, a dziś szumią jedwabiami, z góry patrzą na resztę zjadaczów kartkowego chleba i proszą Pana Boga, by się ta wojna nigdy nie skończyła.

Muszę jednak zwrócić Szan. Interpelantowi uwagę, że są to tylko wyjątki, ogół bowiem intelligentów, zwłaszcza zaś ze sfery urzędniczej, faktycznie nie wie, w jaki sposób związać koniec z końcem. Nie każdy jest w tem miłym położeniu, że ma za ciocię jakąś centralę, która ze swymi kuzynami obchodzi się tak łaskawie, iż im na niczem nie zbywa. Kuzynom wystarczy na szampana i kawiorek, kuzynki mogą sobie pozwolić na jedwabie, złoto i brylanty.

To są jednak wyjątki, które można łatwo policzyć, ogół zaś „krawaciarzy“ przymiera głodem i nieraz, faktycznie z konieczności chwytają się jakiegos handlu, by bodaj nieco poprawić swą marną egzystencję.

Na wsi natomiast, zwłaszcza w sąsiedztwie wielkiego miasta, jakim jest bezsprzecznie Kraków, regułę tworzą właśnie ci, którzy mają za dużo, a do wyjątków należą biedacy. Wiem to z własnych spostrzeżeń i opowiadań ludzi, którym mogę wierzyć.

Przyzna mi zresztą „stały Czytelnik“, że z mniejszym zdziwieniem spoglądamy na strojną w jedwabie żonę starosty lub nauczyciela (jego własne słowa...), niż na wyróżnioną lub upudrowaną Kasie lub Marysie. Niechaj przy sposobności pobytu w Krakowie, zapyta któregoś z aptekarzy, drogistów lub perfumiarzy, a dowcie się, że najlepszymi ich odbiorcami są dziś wiejskie kobiety. Jeżeli zaś kupują kosmetyki, to chyba nie po to, by je chować na później.

I na to zgadzam się zupełnie, że one nie potrzebują sztucznymi środkami poprawiać swych naturalnych wdzięków, mając zdrową cerę, ale właśnie dlatego chciałem to wytknąć, iż zupełnie niepotrzebnie wydają pieniądze na to, z czem im nawet, powiedzmy zupełnie otwarcie, nie do twarzy.

Młoda nie potrzebuje, starej się to na nic nie zda, a jednak... śpiewał jakiś tam poeta:

„Nie pomoże blansz, ni róż,
Kiedy baba stara już...“

a drugi dodał:

„Nie pomoże szwarc, ni mydło,
Kiedy baba jak straszdyło...“

a tymczasem widzimy, że specyalnemi amatorkami wszelakich kosmetyków są właśnie osobniki, przez używanie ich narażające się na śmiech innych, bo i tutaj, jak zresztą i gdzieś indziej spotyka się zbyt często z przesadą. Mówią znawcy, że nawet stara

rudera, jeśli jest nazewnątrz ładnie i świeżo wytynkowana, może łatwiej znaleźć nabywcę, tego jednak nie można zastosować do naszej wiejskiej ludności, zachowującej do późnej starości zdrową i czerstwą pleć. Źle więc czynią te, które nabywają kosmetyki, bo niepotrzebnie wydają pieniądze, mogące być użytymi na cel pożyteczniejszy.

O owych złotych plombach wiem zaś z ust jednego z krakowskich lekarzy-dentystów, do którego zgłosiła się gospodyni ze wsi z prośbą, by jej wyłocił jadaczkę, choć nie miała ani jednego zepsutego zęba. Gdy jej na to zwrócił uwagę, odparła, że to nic nie szkodzi, a ona musi mieć złote zęby, tak, jak jej sąsiadka.

Sądząc, że ją bodaj w ten sposób odstraszy, powiada dentysta:

— No, dobrze!... Ale to będzie dużo kosztować!

— Ile? — pyta zaciekawiona.

— Pięć stówek! — brzmi odpowiedź.

Pomyślała chwilę, pokręciła głową, wreszcie rzekła:

— Ja dorzucę do tego jeszcze stówkę, ale złota musi być dużo!...

Nie jest to zmyślane opowiadanie, ale fakt rzeczywisty, zupełnie tak autentyczny, jak owa historia ze szalem za tysiąc dwieście czterdzieści koron. Kto może sobie pozwolić na takie wydatki — chyba każdy bezstronny mi przyzna — musi mieć za dużo pieniędzy i w samej rzeczy jest w kłopotcie, nie wiedząc na co je wydać. Bo czyż nie lepiej byłoby obrócić je na zakupno ziemi, poprawę gospodarstwa lub wykształcenie dzieci, któreby potem, wróciwszy na ojcowski zagon, mogły korzystać z nabytych w świecie wiadomości i racjonalnie i intensywnie uprawiać ojczystą grzędę... Czy z tego nie byłby większy pożytek?

Nie jestem uprzedzony bynajmniej do ludu wiejskiego. Znam go i cenię i życzę mu, niech zarabia jeszcze więcej, jak na to ciężką swą pracą zasługuje. Bogu chwała, że dzięki wojnie poznano się na jego wartości, ale niech też to, co zyskał, nie przepada marnie. Niech bodaj taką korzyść odniesiemy z obecnej wojny, która na innych polach tak się nam dała we znaki.

I na to zgoda, że lud pracujący należy inteligentom uważać za równych sobie i źle czyni, kto postępuje inaczej, ale niechaj też i ów lud nie odnosi się do każdego sordutowca z taką nieufnością, jak się to dotąd dzieje. Niechaj za serce płaci sercem, bo wielu jest, którzy w samej rzeczy z sercem idą do niego. Są wprawdzie jednostki, grające nawet rolę trybunów pracującego a ucieszonego ludu, a mające tylko swój własny interes na celu, ale takich, dzięki Bogu, jest mało, choć szkoda przez nich wyrządzona jest wielka.

Tak, jak nie powinno się gardzić człowiekiem, pracującym fizycznie, tak też nie powinno się uważać za jakiegos zapowietrzonego tego, kto pracuje umysłowo, czyli należy do kasty tak zwanych intelligentów. I jedni i drudzy są na świecie potrzebni i dopiero wówczas, gdy między jednymi i drugimi wyrobi się jakieś zgodne współzycie, nastaną czasy, których wszyscy pragniemy.

Ale w tem kształtowaniu się naszych stosunków nie powinniśmy się oglądać na Amerykę, jak to chce „stały Czytelnik“, bo nie wszystko, co stamtąd przychodzi, jest dobre i pożyteczne, owszem, zbyt często spotyka się tam niepotrzebny humbag, bez którego się obejdziemy. Niech nasza wieś rozwija się powoli, ale systematycznie, wedle praw naturalnych, bez potrzeby wzorowania się na amerykańskich zwyczajach i praktykach, a jestem pewny, że i ja będę zadowolony, a będzie nim i Szanowny „stały Czytelnik“, o ile jest w samej rzeczy takim przyjacielem ludu pracującego, iż obrazę jego widzi nawet tam, gdzie jej niemal...

Poprzednią kronikę zakończyłem pożegnaniem excellencyi Seidlera, przy sposobności przejścia w dobre zasłużony stan spoczynku, to samo miejsce poświęcam powitaniu jego następcy.

Z excellencyą Hussarkiem znamy się już, zasiadał bowiem w austriackim gabinecie, choć nie na prezydialnym fotelu. Nie jest to więc polityczny *homo novus*, lub „wojenny minister“, bo i taki towar już się u nas pojawił. Jak utrzymują nasi mężowie stanu, z poprzedniej działalności pozostawił po sobie zupełnie dobre wspomnienie, należy się więc spodziewać, że nie sprzeniewierzy się tradycji.

Witamy go zatem, życząc, byśmy jeszcze za czasów jego prezydentury doczekali się końca wojny, którego dr. Seidler nie mógł się doczekać. W danym wypadku kronikarz obiecuje mu swe całowite poparcie i to zupełnie bezinteresownie, nie żądając za to żadnej rekompensaty, nawet orderu. Jakąś małą synekurką, przynoszącą choćby kilkadziesiąt tysięcy koron (niechaj będą i papierowe...) nie pogardziłby, ale się o nią nie doprasza, bo fujara ten, kto nie bierze, gdy dają.